

Przed wybuchem wojny pracowałem na kolei jako konduktor. Kiedy Sowieci uderzyli na Polskę, byłem w Wilnie. Wkrótce uruchomiono pociąg, który szedł do Grodna. Jako kolejarz miałem prawo jechać tym pociągiem, nawet go prowadziłem. Byłem już wówczas "zasłużonym kolejarzem", umundurowanym. Kiedy dotarliśmy do Grodna, to w mieście zaczęła się już strzelanina. Byłem tam jeden dzień. Nie chciałem przystąpić do wojska, które wycofało się w stronę Litwy. Zacząłem się szmuglować, w mundurze kolejowym, do Wasilkowa. Po dwóch czy też trzech dniach dotarłem na miejsce.

Stało się to możliwe dlatego, że przez całą podróż kłamałem: napotkanym ludziom stale mówiłem, że mieszkam tuż tuż i właśnie idę do domu. I takim sposobem doszedłem aż do Wasilkowa /ok. 50km/.

Po drodze widziałem, jak ci z czerwonymi opaskami strzelali do ludzi. Pamiętam, że po drodze przechodziłem przez długą wieś. Nie pamiętam jej nazwy. Pamiętam jedynie, że leży ona na trasie między Grodnem a Sokółką. Kiedy znalazłem się w tej wsi, kobiety ostrzegały mnie: nie idź pan tam, bo tam suginsyny ubiwają człowieka, ludzi ubiwają.

I oni mnie właśnie zatrzymali i chcieli zaciągnąć do lasu. Ale ja zacząłem krzyczeć przeraźliwie, bo wiedziałem, o co chodzi. Na mój krzyk zbiegli się ludzie i zatrzymujący mnie jakos puścili. Był to mój pierwszy wypadek, w którym realnie groziła mi śmierć.

Kiedy dochodziłem do Sokółki, złapali mnie Sowieci. Chcieli mnie wsadzić do wagonu i wywieźć do Rosji. Ja broniliem się w ten sposób, że mówiłem, że jestem kolejarzem, mieszkam blisko od tego miejsca. Pokazywałem jakieś domy w oddali i mówiłem, że tu jest mój dom i że ja właśnie idę do domu. Następnie doszedłem do Buksztela.

Z Buksztela, przez Horodniankę, te miejscowości leżą po drodze, a ja przez cały czas szedłem piechotą - doszedłem aż do Wasilkowa. Kiedy dotarłem do domu, wszyscy byli zdziwieni, że ja jeszcze żyję. W czasie działań frontowych bardzo silnie było bombardowane Zalesie koło Wilna. Na tę miejscowość Niemcy skierowali wyjątkowo silny nalot, bo tam właśnie skoncentrowano duże ilości kolejarzy. Także w czasie działań bojowych, kiedy jechałem pociągiem, byłem przecież konduktorem - rozbito cały pociąg na stacji Zabinka. I tu także udało mi się uciec z życiem. Właśnie z Zabinki pojechałem do Baranowicz, następnie do Wilna. Z Wilna udałem się do Zalesia, skąd zostałem skierowany do Landwarowa. Z Landwarowa pojechałem do Grodna, a następnie do Wasilkowa. Tu zostałem przy rodzicach.

Za Niemców pracowałem, gdzie się dało: w ogrodzie, bardzo ciężko pracowałem przy kopaniu rowów, trochę szmuglowałem, jak to za Niemców. Tak dotrwałem do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. /Tu autor myli okupację sowiecką z niemiecką/. Po przejściu frontu nadal pozostawałem przy rodzinie. Tak dotrwałem do nadejścia Sowieków. Był to rok 1944-ty. Ja wówczas należałem do AK jako łącznik. W tym czasie miałem bardzo serdecznego kolegę, który nazywał się Józef Suchowierski. Na krótko przed moim aresztowaniem byłem na próbie chóru w organistówce, bo w tym czasie śpiewałem w chorze kościelnym. Po próbie, jak to mieliśmy w zwyczaju, pograliśmy w karty gdzieś do godziny dwunastej /w nocy/ i rozeszliśmy się do domu. Kiedy tylko przyszedłem do mieszkania i rozebrałem się, usłyszałem stukanie z zewnątrz:

- Proszę otworzyć.

Ja nic nie mówiąc wbiegłem na górę /strych/, chwyciłem pistolet do ręki z zamiarem, że będę walczyć. I wówczas zauważyłem, że

dosłownie cały dom otoczony jest przez wojsko. Wojsko to było i polskie i sowieckie. Oficerowie byli w czapkach i polskich i sowieckich. Kiedy ponownie zastukano, zapytałem:

- kto tam?

- to ja.

- kto ja?

- Waliński Leoś i Wilczewski Zenek.

Oni wówczas byli w milicji. I oni powiedzieli:

- Leoś otwórz, prowierka dokumentów. Tu jest z nami pan porucznik.

Na te słowa ja otworzyłem. Do mieszkania weszli oni, a z nimi i porucznik, ktoś chyba z UB-e, bo i ta organizacja wówczas już się zawiązała. Kazali mi ubierać się i mnie zabrali. Natychmiast, nocą, zawieziono mnie do magistratu.

Rankiem przyjechał samochód po nas wszystkich aresztowanych. Nie pamiętam już nazwisk zatrzymanych, bo to już wiele lat upłynęło. Wśród aresztowanych byli zarówno mieszkańcy Wasilkowa jak i okolicznych wsi. Z Wasilkowa był - jak sobie przypominam - Czesław Sobolewski, później siedział ze mną. Ponadto aresztowany był Heniek Sobolewski / nie żyje, zginął w Riazaniu - o tym opowiem później/. Zabrali nas z magistratu w Wasilkowie i zawieźli na Ogrodową /w Białymstoku - to była siedziba "Smiersza" II-go frontu Białoruskiego/. Tu zaczęła się dopiero gehenna mojego życia.

W dzień był jaki taki spokój. Ale i wówczas rygor był straszny. Kto siedział na Ogrodowej, ten wie. Areszt mieścił się na dole w piwnicy. Kiedy brano kogoś na przesłuchanie, to trzymano po cztery - pięć godzin. A samo zabieranie na przesłuchanie miało też swoją specyfikę. Wyworanego prowadzono różnymi kobytarzami, na go-

rze i znowu na dole i cały czas po ciemku. Nagle wrzucano człowieka do jasno oświetlonego pokoju, w którym siedział NKWD-ysta lub UB-owiec. I zaczęli pytać na zmianę: co wiesz o tym? Gdzie byłeś? Czy znasz P-8? Czy znasz "Lisa"? Czy znasz takiego czy takiego?

Ja wówczas byłem młody i odpowiedziałem zdecydowanie: Panie, od... tego się ode mnie. Nie znam nikogo i was nie chcę znać. A oni nadal męczyli mnie pytaniami, chyba przez godzinę, powiesz wreszcie do cholery, czy nie powiesz?

Przez taki młyn przechodziłem co drugą noc, a niejednokrotnie i co noc. Parę razy przy tym dostałem w pysk, ale jednemu też dosunąłem. On tak siedział i ja mu dołożyłem w wargę. Ale prawdą jest i to, że i mnie wówczas "kypę" nabili. Ale nie mogę powiedzieć, żeby się nademną znęcali, ale kilka razy dostałem po pysku. Ale najważniejsze w tym było to, że oni mnie straszili śmiercią. Wywozili mnie do lasu / mniej więcej w okolice Katrynki/, i kazali mi kopać dół. Mówili przy tym, że jeśli nie odpowiem na ich pytania, to oni mnie zastrzelą. Ja zawsze na to odpowiadałem, że nic nie wiem. Tak było raz.

Innym razem wywieźli mnie gdzieś za rzekę, nie wiem dokładnie gdzie, w stronę Warszawy. Tym razem straszili mnie, że utopia, jeśli nic nie powiem.

Ostatnim razem wieźli mnie chyba ze dwie godziny. W rezultacie zawieźli mnie do więzienia w Piałymstoku. Do budynku, a właściwie na teren więzienia zawieźli mnie nie przez bramę główną lecz przez bramę tylną. Pamiętam, że tam w pobliżu rosły jakieś drzewa owocowe. Kiedy byliśmy już przed bramą, zapytano mnie jeszcze raz: powiesz czy nie? Oczywiście odmówiłem. "No to idi k'czortu matieri. I wpuścili mnie do więzienia. Dopiero wówczas odet-

chnąłem. Posadzono mnie na ogólnej sali. Tam ze mną siedział taki Sowiec, cwaniak. Był tak sprytny, że oszukiwał klawiszy, wyjmował im z kieszeni żyletki.

W więzieniu siedziałem przez wrzesień, październik. W listopadzie - nie pamiętam tylko dokładnie, którego to było - przyjechał samochód i nas wszystkich z celi załadowano do tego samochodu i zawieziono do pociągu. W wagonie było nas około stu dwudziestu. Wprawdzie podczas załadunku nie bardzo było można zobaczyć, na jakiej stacji jesteśmy, ale wydaje mi się, że to było na stacji Białystok Fabryczny. Samocudem podjechano pod same drzwi wagonu i niesposób było zobaczyć dokładnie, gdzie jesteśmy. Bardziej wyczuwałem po tym, jak jechał samochód, który nas dowoził do wagonu. Kiedy zajechaliśmy na stację, czekał na nas długi skład wagonów towarowych.

Nasza podróż trwała prawie miesiąc. W podłodze wagonu była wycięta dziura do załatwiania swoich potrzeb fizjologicznych. Do jedzenia dano nam suchary i słoninę soloną. Wody nam dawano raz na dzień wiadro, a czasem to tylko wodą nas polano, często pod nogi. A mróz był siarczysty.

O jednej straszliwej rzeczy muszę powiedzieć. Jechał z nami młody chłopak. Otóż w wagonie, kiedy jechaliśmy i oddychaliśmy, gdy parowała wylewana woda, to na hakach i innych metalowych elementach osadzał się szron. I ten młody chłopak wspinał się do góry wagonu i ten szron zlizywał. I kiedyś, podczas takiej wspinaczki, gdy był wysoko, obsunęła mu się noga i on jądrami zawisł na haku. W efekcie wyrwał jądra. On strasznie cierpiał. My w wagonie krzyczeliśmy, stukali, wołali, ale bezskutecznie. Ten chłopak zmarł. A na nasze roppaczliwe wołanie nikt nie reagował. Jediną reakcją Sowieców na nasze wołanie były przekleństwa: a job twoju

w Bohu mać". Bo Rosjanie dobrze wiedzieli, że w wagonie jest ranny człowiek. Dopiero po trzech czy czterech dniach zabrali go. Przekonano ich do tego to, że ten chłopak już nie żył. O żadnym pogrzebie mowy nie było. To wszystko stało się w jakimś tygodniu po naszym wyjeździe. Trudno powiedzieć, w jakim miejscu to było, gdyż zdarzały się i takie przypadki, że staliśmy na jednej stacji nawet po trzy dni.

W takich warunkach przywieziono nas aż do Ostaszkowa. Jedzenie było takie, jakie już omawiałem. Od czasu do czasu podrzucali troszkę sucharów. O gotowanej strawie nie było nawet mowy. Na całą podróż raz dali "kipiatku"; przyniesiono wiadro ciepłej wody. Tak było raz czy dwa. A tak na codzień - przyniesie wody i nam ją da albo tę wodę wyleje.

Do Ostaszkowa dotarliśmy przed Bożym Narodzeniem. Nasz transport był pierwszy z Białegostoku. Sądzę tak dlatego, że nas wywożono w początkach listopada /1944/. Kiedy dotarliśmy do obozu, to tam już były wykonane sektory. Transporty napływające do Ostaszkowa były kierowane do oddzielnych sektorów.

Podczas pobytu w obozie wstąpiłem do policji wewnątrzobozowej. Nie była to policja porządkowa. Moim zadaniem było pilnowanie kartofli. Chodziło o to, żeby obozowicze ich nie kradli. Do pomocy miałem czterech ludzi. Efekt naszego stróżowania był taki, że po jakimś czasie okazało się, że brakuje dwadzieścia pięć ton kartofli. Bo w rzeczywistości ja pomagałem kraść te kartofle. Kiedy przyszło Boże Narodzenie, to ode mnie otrzymali kartofle: Matyszewski, Bejtmanowie. Połowa obozu u mnie się "zaopatrywała". Ja pilnując kartofli sam je kradłem i pozwoliłem kraść. Efekt tej sprawy był taki, że Sowietka - naczalniczka kuchni dostała dziesięć lat więzienia, a ja otrzymałem dwa tygodnie karceru.

W obozie był taki - za przeproszeniem - sukinsyn, "Cap-carap". On zastrzelił człowieka, nas wypędził i kazał patrzeć na zabitego i tak to skomentował: "Ku, smatri, job twoju mat'. I ty tak budiesz pagibał, kagda bŹdziesz ubieżał". Tak mówił, gdy zastrzelił kogoś, kto podjął nieudaną próbę ucieczki. Ja widziałem jednego zabitego, który próbował uciekać. Może uciekinierów było i więcej, a on jednego zabił na pokaz. Zastrzelił bezbronnego człowieka. Wydaje się, że on miał jednak "świra". To właśnie on posadził mnie na dwa tygodnie do aresztu /karceru/. Była to kara za to, że źle pilnowałem obozowych ziemniaków.

Siedziałem w karcerze chyba trzeci dzień, kiedy "Cap-carap" przyszedł na inspekcję karceru. Ja nie narzekałem na pobyt w karcerze, bo kucharze o mnie pamiętali i donosili na przykład lepszej zupy. Kiedy przyszedł "Cap-carap", powiedział: "Kakoj chu? tiebia zdieś posadil?". A ja na to:

- Wy, towariszcz.
- Ja tiebia posadil?
- Wy, towariszcz.

Nie mógł w to uwierzyć. W rezultacie wymierzył mi kopniaka w tyłek i wypędził z karceru.

Całe to zajście było już po świętach Bożego Narodzenia. Na święta nikt nie narzekał na brak ziemniaków. Afera wydała się po świętach. Kiedy wyszedłem z karceru, w obozie przebywałem do wiosny. Oczywiście pozostawałem jako zwykły obozowicz, posadę strażnika oczywiście straciłem.

Ziemniaki ludzie sami kradli, a i ja też swoim znajomym zanośliem. Na przykład takiemu Matyszewskiemu, mojemu serdecznemu przyjacielowi osobiście zanośliem chyba z dziesięć sztuk.

Wczesną wiosną 1945-go roku, to był może luty - władze obozo-

we odczytały listę ludzi młodych, przeważnie w wieku do lat trzydziestu. Ja wówczas miałem dwadzieścia cztery lata i byłem chłodem na schwał i również znalazłem się na tej liście. I mnie przewieziono do obozu do Riazania.

Obóz w Riazaniu istniał już wcześniej. Akurat przed naszym przyjazdem wybuchła tam głodówka. Kiedy myśmy przyjechali, było już po głodówce. Jak nam wówczas opowiadano, w czasie tej głodówki zmarł jeden z generałów. Ostatnio słyszałem, że miała odbyć się jego ekshumacja i jego szczątki miały być przewiezione do Polski. Zapomniałem jego nazwisko. /Uwaga: to chyba chodzi o generała Tumidajskiego?/. Pamiętam, że tam z nami siedział: Hanka, Bitner, Żeliga. Tych pamiętam dokładnie.

Kiedy zajechaliśmy do Riazania, to zastaliśmy dobre odżywianie, bo było świeżo po głodówce. Inna sprawa, że osadzeni tam ludzie skaniali się. To był wojskowy obóz. Tam było bardzo dużo oficerów. Był tam na przykład Kaszubowski, lekarz dentysta. Pochodził gdzieś z lubelskiego. Był to starszy facet, około czterdziestki. Ja tam ulokowałem się jako sanitariusz. Pomagałem w ambulatorium. Leków oczywiście nie mieliśmy. Stosowałem lekarstwa własnej roboty. Parzyliśmy jedlinę, dodawaliśmy trochę cukru oraz trochę zapachów i to chorym dawaliśmy pić jako lek. Nie mieliśmy po prostu innego wyjścia.

Było tam wiele trupów. Pamiętam, że kiedyś poprzerywały się obozowe druty i prąd zabił kilku więźniów. Umierało też wielu na gruźlicę. Ja przy tym byłem jako sanitariusz. Zresztą na tym stanowisku pozostawałem do końca pobytu w obozie. Najpierw byłem pomocnikiem Kaszubowskiego, o który mówiłem, że był w obozie stomatologiem.

W obozie, gdy ktos umarł, to tam było tak: naszych lekarzy było

kilku, było też kilku sowieckich. Sanitariusze kroili ciało, dokonywano sekcji. Konsylium spisywało protokoły. Polscy lekarze pisali oddzielnie: na co zmarł pacjent, kiedy i w jakich okolicznościach. Oddzielny protokół spisywali lekarze radzieccy.

w obozie miałem serdecznego kolegę, jeszcze z czasów przedwojennych, z Polski. Nazywał się Henryk Sobolewski. On tam przebywał z rodzonym bratem - Cześkiem. Czesiek pracował w obozowej kuchni, a Heniek pojechał na koszenie trawy. Z tego, co mi później opowiadano, że tam było tak: kto miał lepszą kosę, ten więcej i szybciej skosi, więcej ma wolnego czasu i dostaje lepsze jedzenie. Nic więc dziwnego, że każdy starał się chwycić dobrą kosę. I w związku z tym jego spotkało straszne nieszczęście. Kiedy on schylił się po kosę - czy ktoś nadepnął na kosę czy może on sam. Nadepnięcie nastąpiło na kosisko /drewniany element, do którego przymocowana jest kosa/ w taki sposób, że kosa stanęła sztorcem. On schylając się wbił sobie kosę w osierdzie. Gdy wspominał ten moment, gdy go przywieziono - dziś jeszcze płaczę. On umarł na moich rękach.

Później, jako sanitariusz dostałem grupę dziesięciu ludzi i chodziłem po tamtejszych PGR-ach. w rezultacie siedziałem do wiosny 1946-go roku. Wówczas, w pierwszej turze przywieziono mnie do Polski.

w obozie warunki mieszkaniowe były okropne. Mieszkaliśmy w barakach, w których było bardzo dużo pluskiew. Z nami siedział tam jeden Dowiet. Był to wspaniały człowiek, niesamowicie nie znosił komuny. Nie pamiętam, za co on siedział. Pamiętam, że mówił tylko po sowiecku, polskiego nie znał. On pluskwami narysował Stalina. Malował oczywiście krwią pluskiew. Za to przez trzy godziny staliśmy na apelu.

Jedzenie było takie, jak w każdym obozie. Menażki po zupie nie trzeba było myć, a na drugie danie otrzymywaliśmy łyżkę kaszy. Ale Polacy jakoś sobie radzili. Kiedy w Riazaniu poszliśmy do roboty. Do pracy zaczęto nas posyłać wówczas, gdy niaudana okazała się próba Rosjan wcielenia nas do sowieckiego wojska. Kiedy zajechaliśmy do Riazania, to niektórzy nasi oficerowie i oficerowie rosyjscy namawiali nas do ćwiczeń wojskowych, bo to nam się "przyda". Myśmy od początku wiedzieliśmy, do czego to prowadzi. Nasi generałowie, którzy przebywali z nami w obozie ostrzegali nas: uważajcie, bo was zabiorą na front.

Kiedy przystąpiliśmy do ćwiczeń, dano nam jakieś karabiny, które w zasadzie przypominały karabiny. Myśmy to połamali i wyrzuciliśmy, a następnie rozeszliśmy się. Czuliśmy się w miarę bezpiecznie, bo wiedzieliśmy, że za nami po obozie strzelać nie będą. I na tym w zasadzie ta sprawa się skończyła. Wówczas nas zamknięto i nigdzie nie puszczano. W obozie była straszna bieda. W obozie nie było ani jednej trawki, bo wszystko z głodu pozjadaliśmy. Ale po jakimś czasie dyscyplina zelżała. Zaczęto posyłać nas do pracy, do wyładunku węgla w Riazaniu, soli, ryby. W tych warunkach dociągnęliśmy do wiosny. Wówczas przywieziono nas do Polski do pierwszej stacji koło Brześcia, do Terespoła, właściwie to dalej, bo do Białej Podlaskiej. Przez cały czas byliśmy pod konwojem sowieckim.

Przywieziono nas w dzień i tam staliśmy. Nocą nagle usłyszeliśmy jakieś strzały. W pewnym momencie drzwi się otworzyły i ktoś zawołał, że jesteście wolni. Myśmy wyszli i stwierdzili, że nikogo nie ma: ani Rosjan ani Polaków. Skoro wyszliśmy, to i porozchodziliśmy się tam, gdzie kto chciał. Ja w tym czasie byłem tak bardzo chory, że nie mogłem chodzić. I mnie jakaś rodzina - nie pamiętam

danych, chociaż adres miałem zapisany, pisaliśmy do siebie - to ta rodzina zabrała do siebie. Tam pozostawałem przez tydzień. U tych ludzi znalazłem pomoc: podkarmiano mnie i leczono. Dopiero po tygodniu wróciłem do Wasilkowa.

Do dziś do końca nie jest wyjaśniona sprawa owej strzelaniny. Nikt nam przecież nie powiedział, a nasze władze utrzymywały to w tajemnicy. Ale my mamy takie wrażenie, że przyszła partyzantka, "zdjęła" tych Sowieców to znaczy albo ich rozpędzono albo ich zabrano. Sowieci musieli zniknąć, skoro wagony się otworzyły i my byliśmy wolni. Ale jak się później okazało, nas zamierzano zawieźć do więzienia. Uważano nas bowiem za AK-owców, ludzi sprzeciwiających się budowie ustroju komunistycznego. Jestem pewien, że gdyby nie to, gdyby nas UB-e zabrało, to nas wszyscy zawieziono by do więzienia.

Po tym wszystkich chodziliśmy do PUR-u, gdzie otrzymaliśmy zaświadczenia / to było w Białej Podlaskiej/, otrzymaliśmy też po parę złotych, otrzymywaliśmy coś z ubrania, bo na sobie mieliśmy straszne łachy. Następnie przyjechałem do Wasilkowa.

Tu, w Wasilkowie zacząłem nowe życie, ale to nie było takzwane "nowe życie". Miałem brata, bardzo fajnego i przystojnego chłopaka. Kiedy w 1946-tym roku należało wywiesić afisz "trzy razy tak", to on wywiesił "trzy razy nie". Uległ nieszczęśliwemu wypadkowi i zginął. On był starszy i ja miałem przejąć po nim "buławę". Odnowiłem znajomość z kolegami, których dobrze znałem jeszcze z wcześniejszych, przedwojennych czasów i zaczęła się niby konspiracja.

Tu trzeba krytycznie przyznać, że w wielu wypadkach to już nie była konspiracja. Niektóre poczynania bardziej przypominały bandę, a nie konspirację. w tej sytuacji musiałem zrezygnować z

tego, bo innego wyjścia już nie było.

Pewnego razu spotkaliśmy się u niejakiego Zawadzkiego, przy ulicy Gajnej. Na tym spotkaniu był Romek Bychowski "Żbik", ja i gospodarz, Kazik Zawadzki. W tym czasie moje znajomości sięgały do lasu, znajem "P-8". Znałem się z dowódcą siatki w Wasilkowie. Oni - na tym spotkaniu - obawiając się, że mogę mieć większe możliwości niż oni - zabrali mi broń i kazali iść i wieszac afisze na słupie. Do towarzystwa dodano mi osobę z pistoletem. Dobrze wiedziałem, czym to mi grozi. Może ja się mylę, ale to na pewno była zasadzka: idziemy wieszac afisze, podczas tej akcji ktoś Leona/mnie/ zastrzelił i na tym cała sprawa się kończy. Na całe szczęście przejrzałem tę grę. Towarzysza swego unieszkośliwiłem ciosem w podbródek i dałem "choda". Uciekłem ostatecznie aż na zachód /chodzi o zachodnią Polskę/.

Zatrzymałem się w Nidzicy. Udałem się tam do znajomej - Jaski Zólkiewicz /koleżanka z Wasilkowa/. Zamieszkałem u niej. Ale już po kilku dniach mnie aresztowano i osadzono w areszcie, w którym przesiedziałem dwa tygodnie. To moje aresztowanie miało bezpośredni związek z referendum ludowym "trzy razy tak". Tam był taki Dranko, pospolity bandyta, hitlerowiec, o którym nikt nic bliższego nie wiedział. Z tym wynikała taka historia.

Otóż był tam taki Dranko, dowódca i komendant. I był tam też niejaki Sokół. Oprócz nich był też Józek Mydło, bardzo fajny chłopak. Trochę z nim się nawet przyjaźniłem. Wówczas pracowałem na kolei i często się spotykaliśmy z sobą i rozmawialiśmy. Pewnego razu oni mieli służbę. Stali na peronie i obserwowali przejeżdżający pociąg. W pewnej chwili obaj /Sokół i Józek Mydło/ usłyszeli rozmowę dwóch podróżnych:

- Patrz, patrz, Dranko stoi, o kurwa jego mać.

A po chwili dodał:

- To jest hitlerowiec, kapo.

Mydło, który nienawidził Dranki, natychmiast skoczył do wagonu, do tych podróżnych:

- panowie, czy wy znacie Drankę?

- tak, to przecież kapo.

- To dobrze.

W rezultacie tego spotkania natychmiast pojechali do Olsztyna. Dranko oczywiście nie wiedział, że niebezpieczeństwo nadciąga. Nawet odgrażał się, że jego pracownik, bez jego zezwolenia i rozkazu gdzieś pojechał. Wkrótce przyjechał samochód. W pewnym momencie otoczono posterunek, w którym aktualnie przebywał Dranko. Został on aresztowany, stanął przed sądem i został skazany na 15-cie lat więzienia jako kapo.

Nadszedł rok 1947-ny. Przyjechałem do Wasilkowa na ujawnienie się. Tu już było znacznie spokojniej. Po ujawnieniu się otrzymałem nowe dokumenty. Po jakimś czasie do domu przyszła milicja, byli to ludzie mi znajomi - i kazali mi zgłosić się na posterunek. Na posterunku kazano mi pokazać dokument ujawnienia się. Następnie zapytano mnie, jakie jeszcze posiadam dokumenty. Odpowiedziałem, że mam dokument repatriacyjny ponieważ swego czasu byłem wywieziony do Rosji. Ten dokument mniej ich zainteresował. Ale powiedzieli, że bym to im zostawił, że oni po jakimś czasie to mi zwrocą albo ja, gdy zechcę, przyjdę po nie osobiście. Ten fakt uzasadniali tym, że te dokumenty są akurat im potrzebne i że oni muszą je przedstawić w pewnym miejscu.

Z tym wróciłem do domu. Po jakimś czasie wyjechałem. Nigdy już do nich po moje dokumenty nie poszedłem. Myślałem, że one nigdy już w życiu nie będą mi potrzebne. W ostatnich latach z tego powodu miałem wiele kłopotów. Musiałem zbierać i świadków, pisać do

Związku Radzieckiego, do Riazania. Nie mam stamtąd żadnej odpowiedzi, chociaż minęło już pół roku od czasu, kiedy do nich napisałem.

W następnych latach ożeniłem się. Mogę powiedzieć, że mam dobrą żonę i dwoje dzieci. Wszystkie moje dzieci są za granicą i dobrze im się powodzi. Obecnie czekam na uzyskanie uprawnień kombatanckich. Prawdzie pieniądze nie są aż tak bardzo mi potrzebne, ale każdy by chciał mieć jakąś satysfakcję za to, co go kiedyś spotkało.

Moja przeszłość ciągnęła się za mną. Nigdy nie miałem na jakiś istotny temat wiele do powiedzenia. Zawsze byłem nie w porządku. Byłem z natury człowiekiem ruchliwym. Grałem na skrzypcach i na gitarze. Przez czternaście lat grałem w kapeli podwórkowej w Wasilkowie. Grałem na weselach, bawiłem się i byłem lubiany. Ponieważ pieniędzy nigdy mi nie brakowało, stawiałem wódkę władzom tym niskim i tym "wysokim." Ale nigdy nie otrzymywałem żadnych wyróżnień. Kiedyś otrzymałem - chyba dwukrotnie - nagrodę od dyrektora w wysokości trzysta złotych. A jednocześnie na mojej stacji był taki porządek, że nie tylko w okolicy, ale chyba i w Polsce takiej drugiej nie było. Nigdy nie bałem się pracy i potrafiłem pracować ciężko. Do pomocy miałem dobrych chłopców, pracowitych. Ale zawsze były jakieś szykany, zawsze było coś nie tak: to to niedobrze, to znowu to niedobrze.

Ze strony milicji czy innych władz nie miałem przykrości. Nie mieszałem się do polityki i dlatego z tej strony miałem spokój.

Jestem w stanie dokładnie opisać sylwetkę sowieckiego oficera "Jap-carap", ponieważ często się z nim spotykałem. Miało

to bezpośredni związek z moją funkcją obozową: pilnowałem kartofli. Jak już wspominałem byłem tam po to, aby ludzie mogli je kraść. "Cap - carap" był niewielkiego wzrostu. Chodził po obozie trzymając jedną rękę na kaburze pistoletu chociaż nie było wiadomo, czy w kaburze rzeczywiście jest pistolet. Chodził zawsze i czepiał się do każdego. Zawsze był beśzczelnie zły. Do każdego napotkanego człowieka okazywał nienawiść. Z jego oczu wyzierała chęć, aby człowieka zabić. Był gorszy od gestapowca. Za każde przewinienie karał. Najczęściej kierował do obozowego karcera. Ale też praktykował stawianie więźniów na podwórku obozowym. Często postępował tak, że na przykład wyganiał lewą stroną baraku na podwórko i kazał stać przez godzinę. Widywałem, że czasem któregoś z więźniów kopnął. Ale nie mogę powiedzieć, żeby nad kimś się znęcał. Tego nie widziałem. Zapamiętałem go jako człowieka wyjątkowo "ciemnego", czasem pijanego.

Kiedyś mnie posadził do karcera na dwa tygodnie i sam, po kilku dniach, wypędził mnie stamtąd bardzo zdziwiony, że ja tam się znalazłem - o tym już mówiłem. Obruszył się nawet, gdy mu powiedziałem, że siedzę w karcercie z jego polecenia.

Wobec opinii, wedle której "Cap-carap" miał zastrzelić kilku polskich oficerów ujętych w czasie ucieczki mogę stwierdzić, że taka wieść krążyła po obozie. Ja osobiście widziałem jednego zastrzelonego uciekiniera, do którego musieliśmy wszyscy podejść. Czy więcej było takich przypadków? Ludzie twierdzą że tak. Fogłoski mówiły, że on własnoręcznie zastrzelił kilku oficerów czy może osoby cywilne. Jednego widziałem na własne oczy. Ten człowiek był zastrzelony na drutach. Tylko o tym mogę powiedzieć, bo to widziałem.

Nie wiem, skąd wzięło się to jego przezwisko. Kiedyśmy zaczęli do obozu, już go tak nazywano. Może on miał jakieś takie powiedzenia, może kradł czy w jakiś inny sposób kombinował. I chyba z tego to się przyjęło. W obozie, gdy padało słowo "Cap - carap", to każdy uważał, bo wiadomo, że przyjdzie wariat dureń.

W Ostaszkowie mieliśmy bardzo mało styczności z władzami obozowymi. Władze pokazywały się sporadycznie, dla jakiejś kontroli. "Cap - carap" był na czele. Natomiast w Riazaniu były i takie momenty - to zdarzało się sporadycznie - że i mucha nie mogła przemknąć się do obozu. Czasem to trwało przez tydzień, kiedy nie można było nigdzie wyjść czy nawet podejść. Po jakimś czasie następowało rozluźnienie dyscypliny. Ja tam byłem sanitariuszem i chodziłem z torbą sanitarną. Gdy był na przykład rozładunek powiedzmy węgla w likiernym zawodzie /tam produkowano wódkę/, to w czasie tej pracy nas dziesięciu pilnowało dwóch strażników. Rezultat tego pilnowania był taki, że to my przynieśliśmy tych strażników do obozu. A do miejsca pracy było osiem kilometrów. Oczywiście razem ze strażnikami przynieśliśmy ich karabiny. Niejako w nagrodę za to wpuszczono nas na teren obozu bez rewizji. A mieliśmy ze sobą nieco wódki.

Funkcjonował też "Chłodilnik" - potężny, podziemny tunel-chłodnia, w którym przechowywano miliony kaczek i gęsi. Czasami kierowano nas tam do rozładunku węgla. Dla nas ukraść tam coś nie stanowiło problemu. W zasadzie nie było to jakieś większe ryzyko: zabrano by to, co się ukradło, do tego dołożono by kopniaka w tyłek i więcej by do tej pracy nie skierowano. Inaczej wyglądała sprawa, gdy na kradzieży przychwycono by Sowieta: dziesięć lat nie oglądałby świata. Myśmy w tej sytuacji radzi-

liśmy sobie w ten sposób: podwędzimy kilkanaście gęsi i przetrzucamy przez płot. A za płotem już czekali "odbiorcy". W zamian otrzymywaliśmy od nich tytoń, chleb i inne cenne w tamtych warunkach rzeczy. Czasem udawało się przenieść coś do obozu.

Gdy pracowaliśmy, to było nam bardzo dobrze głównie dlatego, że zatrudniano nas w takich przedsiębiorstwach, w których można było coś ukraść.

Kiedys zostałem wydelegowany, jako sanitariusz, z dziesięcioma kolegami do kołchozu. Tam myśmy kopali kartofle. Tam mieliśmy prawo nagotować sobie wiadro kartofli i najieść się do syta. Pewnego razu zauważyliśmy koło nas chyba ze dwadzieścioro dzieci z menażkami. Od tego czasu już nie gotowaliśmy jednego wiadra ziemniaków lecz pięć. Te dzieci wzięliśmy na nasz garnek.

Innym razem wieźliśmy żyto. W pewnym momencie worek się "rozpruł". Żyto się oczywiście wysypało, a kołchoźnicy pozobierali. Takie wybiegi stosowaliśmy wielokrotnie i dlatego nas ludzie lubili. A pamiętam, kiedy nas zobaczyli pierwszy raz miejscowi ludzie. Było to w Riazaniu. Usłyszeliśmy okrzyki: faszyci. Dosłownie. Ale z biegiem czasu, gdy dowiedzieli się, że jesteśmy "Palaczki", to dzielili się z nami ostatnim, co mieli. Ich wroga postawa na początku była wynikiem tego, że władze powiedziały im, że jesteśmy Niemcami. Dopiero oni sami przekonali się, z kim rzeczywiście mają do czynienia. Myśmy w obozie wyrabialiśmy /oczywiście pokątnie/ pewne rzeczy, które z nimi wymienialiśmy, najczęściej na tytoń. A w kołchozie miejscowi ludzie byli naprawdę szczęśliwi, kiedy myśmy byli przy pracy. Oni niewiele robili, a my dosłownie nic, bo co było robić? Naszym najczęstszym zajęciem było coś zakładować czy przejrzeć maszy-

ny. Co mieliśmy, oddawaliśmy tym biednym Rosjanom. Ich sytuacja była gorsza od naszej. Rosjanin "nie miał prawa" ukraść. Jeśli go na tym złapano, to już koniec. Natomiast my "mogliśmy". Niejednokrotnie gdy wracaliśmy z pracy do obozu i zaczęliśmy wyładowywać "łupy", to była tego taka ilość, że nie wiadomo, czy zabrano by je na pół fury. Jeśli była dobra komendantura, to to wszystko wchodziło do obozu. A należy pamiętać, że w obozie było trzy tysiące ludzi. A wszyscy byli głodni. I tak to jeden drugiemu pomagaliśmy i takie to było nasze życie.

W sprawie życia religijnego mogę powiedzieć, że w obozie nie było zbiorowych modłów. Ale życie religijne istniało: mówiliśmy pacierze osobno. Istniały niewielkie grupki, w których modlono się na głos. Ale zbiorowe modły były niebezpieczne, bo na tym punkcie władze obozowe były uczulone i takie postępowanie było całkowicie zabronione. Ale ludzie robili swoje: modlili się po cichu, klękając. W czasie świąt Bożego Narodzenia chodził kapłan i miał Najświętszy Sakrament, udzielał komunii świętej. W obozie byli różni pod względem wyznaniowym ludzie, ale w większości wierzący. Dlatego życie religijne istniało lecz nie miało charakteru oficjalnego.

Na wigilię i Boże Narodzenie podstawowym daniem były kartofle. Było tak dzięki temu, że pilnowałem ziemniaków i pozwalałem na ich kradzież. Tak było na Boże Narodzenie w Ostaszkowie 1944-go roku. Natomiast następne święta - już w Riazaniu były inne. Tam więcej mieli do powiedzenia kucharze. Obóz miał więcej charakter obozu wojskowego, a tym samym i jedzenie było troszkę lepsze. Zresztą to był taki obóz, w którym było można dużo przeszmyglować z pracy do obozu. Pracowało około piętnastu do dwudziestu grup, a każda grupa coś kombinowała. Na przy-

kład nas kiedyś zabrano nad Okę do rozładunku soli, którą dowożono barkami do nadbrzeża w miejscu, w którym byli zbudowane molo. Na brzegu leżało tyle soli, że przestrzennie zajmowała tyle miejsca, ile zajmują trzy domy. Sól leżała pod gołym niebem, na nią padał deszcz. Tam, przy przeładunku soli pracowaliśmy z nami Sowieci, który nie przebywał z nami w obozie chociaż też był więźniem. On cytował nam z pamięci "Pana Tadeusza". Jego kara polegała na tym, że przez dziesięć lat nie mógł wyjeżdżać z Kiazania.

Okę, jak to dziś pamiętam, jest rzeką bardzo głęboką i ma wysokie brzegi. Zejścia do wody po zboczu przebiegały serpentykami. Już przy brzegu głębokość wynosiła cztery do pięciu metrów. Tuż przy brzegu przepływały barki z solą ciągnięte przez holowniki. Pamiętam - pewnego rano szliśmy do pracy. Akurat przyjechała barka i przy brzegu miała jakieś kłopoty. Akurat był z nami bardzo dobry konwojent. Kiedy podeszliśmy bliżej dowiedzieliśmy się, że pod śrubę wpadła potężna ryba, ogromna bestia o wadze dwudziestu /około/ kilogramów. Od tego Rosjanina, który recytował "Pana Tadeusza" dowiedzieliśmy się, że ta ryba nazywa się obła. Ponieważ to jest wyjątkowo tłusta ryba, w tej sytuacji mieliśmy tłuszczu do woli. Oprócz tłuszczu mieliśmy też wiele mięsa, które smażyliśmy. Strażnicy nie przeciwstawiali się temu, bo oni sami byli też bardzo biedni, oni nas rozumieli.

Takie sytuacje były bardzo korzystne. Ten tłuszcz bardzo nas wspomagał. Kiedy zacząłem chodzić do roboty poczułem, że żyję. W tym względzie oficerowie, którzy przez cały czas siedzieli w obozie, mieli znacznie gorzej pod tym względem. W naszym obozie był niepisany haracz. Ja znałem kilku oficerów,

znałem na przykład Kaszubowskiego. Kiedy zebraliśmy trochę więcej jedzenia, to z nimi się dzieliliśmy. W tym względzie nie istniało coś takiego jak "moje" czy "twoje". Żadnych pieniędzy tam nie było, każdy chciał przeżyć.

Życie miejscowej ludności było straszne, tragiczne. Gdyby tak dzisiejszy człowiek mógł zobaczyć, jak straszna to była nędza. Takiej nędzy ja w życiu jeszcze nie widziałem. Domy były porozwalane. Dookoła niegospodarność. Były elewatory, owszem. Ale to niewiele znaczyło, skoro przywiezioną do elewatora pszenicę trzymano na podwórku, pod gołym niebem przez tydzień, zanim ją złożono w elewatorze. Same elewatory były tak potężne jak miasto. I trzeba powiedzieć, że oni mają tego zboża, tam ziemia jest urodzajna. Na dowód tego przytoczę przykład, kiedy kopaliśmy ziemniaki. Tam, gdzie nie było nawozu, ziemniaki były bardzo duże. Natomiast tam, gdzie przed rokiem było zboże, a zwłaszcza w miejscach, gdzie stały snopy i więcej było słomy - poszczególne bulwy ziemniaczane osiągały wagę dziewięćdziesięciu deko. A jednak, w takich warunkach - ludzie byli biedni, bo wszystko zabierało państwo. I to były skutki komuny, a do czego to doprowadziło, to dzisiaj widać.

Kraj jest piękny i bogaty. Widoki są bardzo piękne. Jak ładnie wygląda Oka, szeroka a na niej duże statki. Ale co z tego - skoro porządku nie było. Predsiedatiel - owszem - miał ładne mieszkanie przy magazynach. A reszta ludzi mieszkała w barakach. Pracowano wprawdzie maszynami, ale ludzie raczej starali się obijać, a nie pracować. W niewielkich miasteczkach ludzie niektórzy mieli ogródki, a nawet większe ogrody. I jeśli właściciel nie uprawi tego kawałka ziemi, to nie ma nic. A przecież nie mieli ani koni ani maszyn. Widziałem nawet taki wypadek,

dwie kobiety ciągnęły - zaprężone - niewielki płużek, za którym szedł mężczyzna. Takim sposobem można zrobić szybciej niż szpadlem. widzieliśmy to po raz pierwszy i zrobiło to na nas duże wrażenie. Jednak po pewnym namyśle doszliśmy zgodnie do wniosku, że wydajność tej pracy jest większa niż kopanie szpadlem.

To w zasadzie wszystko, co mogę w tych sprawach powiedzieć.

Notował: S. Sianko.

Do relacji dołączono:

1. Zaświadczenie z Archiwum Państwowego w Białymstoku stwierdzające powrót z ZSRR.
2. Zaświadczenie wystawione przez Główną Komisję Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu - Instytut Pamięci Narodowej - Okręgową Komisję w Białymstoku potwierdzające deportację do ZSRR we wrześniu 1944-go roku oraz powrót do kraju w lutym 1945-go roku.

Główna Komisja Badania Zbrodni
przeciwko Narodowi Polskiemu
- Instytut Pamięci Narodowej -
Okręgowa Komisja w Białymstoku
ul. Michewicza 5, tel. 439-394
15-950 Białystok

Białystok 7. prosinca 1991

Z a ś w i a d c z e n i e

Główna Komisja Badania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu -
Instytut Pamięci Narodowej Okręgowa Komisja w Białymstoku
na podstawie posiadanych dokumentów /w tym informacji z
Archiwum Państwowego/ stwierdza, iż Pan /i/ *Lech Augustynowicz*
..... został/a/ wywieziony /a/ w głąb ZSRR
w dniu *września 1944*... Przebywał/a/ na zesłaniu w
miejscowości *Stawiszczki, Diagilewo, Rosavi, ob. Białystok*
woj.....
Powrócił/a/ do kraju *21 lutego 1946*.
Zaświadczenie wydano na prośbę w/w.

Prokurator ds. do O.S.P.
w Białymstoku
Michewicza
mgr W. Michewicza

ARCHIWUM PAŃSTWOWE
15-426 w BIAŁYMSTOKU
ul. Rynek Kościuszki 4, tel. 356-03
0001034

Pan
Augustynowicz Leon
Wasilków
ul. Dworna 17

Nasz znak:
842-1467

Data:
1991-06-25

Archiwum Państwowe w Białymstoku na podstawie ewidencji
Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w Białymstoku /t. 138, srt.4/
informuje, że Pan Leon Augustynowicz s. Józefa ur. 1918r.
powrócił z ZSRR 21.02.1946r.
W aktach brak daty wywozu.

DYREKTOR
Archiwum Państwowe
w Białymstoku

dr Henryk Majecki